

możność porozumienia się i ponieważ nie było już sposobu zniszczenia wie-
zionej paczki, przypadkowy towarzysz Iwanowa poświęcił się i przyjął ją
za swoją. Zresztą, jak twierdził, nie było to z jego strony ^{wielkie} takie poświę-
cenie, albowiem miał już wiele innych grzechów na sumieniu.

Gdy protokół graniczny znalazł się w centrali warszawskiej żandar-
merii, powstało u nich podejrzenie, że broszury znalezione w paczce są
pochodzenia ryskiego. I tutaj zaszła okoliczność, która uratowała nas z
opresji, a która była charakterystyczną dla stosunków panujących wówczas
wśród żandarmów rosyjskich, na tle wzajemnej konkurencji zawodowej. Kie-
dy bowiem placówka warszawska, na podstawie swych podejrzeń, zwróciła
się do żandarmów ryskich o dokonanie miejscowego wywiadu i przesłała im
cały szereg sprecyzowanych zapytań, ci uczuli się dotknięci wkroczeniem
żandarmów warszawskich na ich teren i dochodzenie przeprowadzili w spo-
sób zupełnie nieoczekiwany, a dla nas bardzo korzystny. Chociaż powołano
do zeznań cały szereg studentów z naszego towarzystwa pozakorporacyjnego
, to jednocześnie pytania stawiane były w ten sposób, że zanim badany
zdążył dać odpowiedź, już mu ją sugerowano. Żandarmi wypowiadali przytym
dość bezceremonialną krytykę pod adresem swoich kolegów warszawskich, za-
rzucając im brak inteligencji oraz nielogiczność w formowaniu podejrzeń.

Trzeba dodać, że tylko mała część kolegów była wtajemniczoną w fakt
istnienia naszej drukarni w Rydze. Najzupełniej negatywny wynik śledztwa
był doskonałym dowodem, jak bardzo zależało żandarmom ryskim na niewy-
kryciu w ich rejonie przestępczych poczynań polskich studentów.

R O Z D Z I A Ł V.

Jesień 1891 rozpoczynała okres radykalnej naszej roboty. W niewiel-
kim gronie zaufanych dojrzał już plan odwetu w Warszawie. Nie zważając
na nasze studia politechniczne, postanowiliśmy wyjechać na teren bezpo-
średniego działania.

Z młodzieży studenckiej byłem najstarszy i studia przerwałem tuż przed egzaminami dyplomowymi; chemiczną pracę dyplomową już nawet ukończyłem.

Braciom Kunickim, Józefowi i Henrykowi, którzy należeli do grona sprzysiężonych, brakowało jeszcze paru lat do skończenia politechniki. Obydwaj posiadali odmienne usposobienia. I kiedy Henryk przy narastaniu grożącego mu niebezpieczeństwa zachowywał się smętnie, to Józef wykazywał dużo humoru.

W mieszkaniu Kunickich zapadła ostateczna decyzja wyjazdu do Warszawy na rozprawę z przedstawicielami naszych wrogów. Józef wyjął scyzoryk i ze szczególną satysfakcją rozciął nim swój rysunek techniczny, nad którym pracował już od miesiąca.

Znacznie od nas starszy wiekiem, Zieliński, był urzędnikiem kolejowym. Posiadał on wyjątkowe fanatyczne usposobienie, zawsze był w dobrym, pogodnym nastroju i każdej chwili gotów swe życie poświęcić dla sprawy. Socjalistą stał się w późniejszym wieku i to z wielkim trudem; ale skoro raz już go przekonano, przystąpił do doktryn socjalistycznych z pełną, omal religijną wiarą.

Zieliński i ja rozporządzaliśmy sobą w zupełności. Inaczej jednak było z Kunickimi. Wyjazd ich z Rygi musiał być tak upozorowany, aby nie budził żadnych podejrzeń u ich ojca, inżyniera z zawodu, pracującego w Petersburgu.

Surowe przepisy politechniki ryskiej, przewidywały między innymi automatyczne wydalenie ze szkoły w razie silniejszego zakłócenia spokoju w jej murach. Skorzystali z tego Kuniecy i zostali wydalenii.

Ojcu swemu donieśli o tym nieszczęściu dopiero z Warszawy i to już po wstąpieniu jako jednoroczni do gwardyjskiego pułku. Napisali do niego, że zostali sprowokowani w murach politechniki, a ponieważ nie zdoła-

lili się pohamować i zareagowali czynnie, zostali wydalenii; nie chcąc zaś tracić czasu zgłosili się do wojska w Warszawie, celem odbycia służby jednorocznej,

Późną jesienią roku 1891, gdy już całe nasze grono czynne było w Warszawie, postanowiłem zastąpić w wojsku młodszego swego brata, który właśnie powołany został do szeregów.

Nie mając matury rządowej, nie posiadał on jednocześnie żadnych praw do ulg wojskowych. Mnie się zaś wydawało, że moja służba wojskowa nie przeszkodzi w naszych zamierzeniach warszawskich.

Pojechałem więc do Zamościa i zgłosiłem się do wojska pod warunkiem, że będę miał prawo odsługiwać je w Warszawie. Po zakonotwieniu formalności i złożeniu przysięgi dostałem dwutygodniowy urlop, celem wybrania sobie pułku.

Wówczas to zastanawiałem się co mi uczynić wypadnie, jeżeli oficer rosyjski w wykładowaniu swojej ordynarnej natury, mnie znieważy. Odpowiedź znalazłem bezzwłocznie: będzie to nieszczęście, równe wypadkowi śmiertelnemu, kiedy gzyms spadnie na głowę przechodnia, za radykalną obronę w takiej okoliczności groziła bowiem śmierć.

Warszawskie władze wojskowe poinformowały mnie, że już od paru lat nie przysługuje mieszkańcom kongresówki prawo odbywania służby wojskowej w jej granicach i to nawet tym, którzy mają prawo pierwszej kategorii. Jedynie dla służby ochotniczej nie było żadnych ograniczeń, do niej jednak utraciłem prawo, bowiem bez mojej wiedzy i upoważnienia, wójt gminy ciągnął los w moim imieniu. Los ten nie zwalniał mnie z wojska, musiałem zatem służyć na prawach poboru po zakończeniu swych studiów politechnicznych.

Mając na względzie nasze plany, których terenem wykonawczym była przecież Warszawa, nie mogłem w żaden sposób zgodzić się na wyjazd w

głąb Rosji. Byłem więc zmuszony wszystko z powrotem odrabiać, co mi się też w zupełności powiodło. Władze zamojskie chciały bowiem uniknąć rozgłosu, o wykazanej nieznanym przepisów.

Brat mój powrócił do wojska, wykorzystawszy tylko możliwość spędzenia Świąt Bożego Narodzenia w domu. Ja zaś zostałem zupełnie zwolniony, wyraziłem bowiem gotowość równoczesnego służenia z bratem. W takim zaś przypadku, na podstawie postanowień przepisów wojskowych, jeden z braci mógł być od służby wojskowej zwolniony.

Gdyśmy w naszych pracach przygotowawczych byli już bliscy celu i gdy uświadomiłem sobie w pełni niepewność mego losu, wyjechałem do Płocka z postanowieniem zerwania z narzeczoną. Chciałem w ten sposób ^{od}zaizolować ją przed ewentualnymi następstwami wykonywania naszych zamiarów. Na miejscu jednak, nie mogłem się zdecydować się na ten krok bez podania powodów. Chciałem, aby inicjatywa wyszła od narzeczonej. Nie miałem sumienia porzucić (samemu) biednej panienci, córki zbankrutowanego ziemianina, który był urzędnikiem w Ziemskim Towarzystwie Kredytowym, z bardzo małym wynagrodzeniem. Nalegałem więc aby zerwała z takim szaleńcem, bo inaczej czeka ją tylko smutny los; w najlepszym razie, mało prawdopodobnym, ucieczka ze mną za granicę. Perswazje nie odniosły skutku. Narzeczone oświadczyła kategorycznie, że chce dzielić mój los, choćby był najgorszy. Postanowiliśmy zatem pobrać się jeszcze przed nadchodzącą wielkim postem.

Dyspensę papieską na zawarcie małżeństwa w tak bliskim kuzynostwie posiadaliśmy już, trzeba było jeszcze tylko w porę zdążyć z zapowiedziami. W tym celu musiałem przywieść z Rygi dowód wygłoszonych tam zapowiedzi.

Ślub odbył się bardzo skromnie 22 lutego 1892 roku w Płocku. Z mojej strony przyjechała jedynie matka, reszta rodzeństwa bowiem nie była zawiadamiana.

Nazajutrz odwieźliśmy matkę do Klic. Mieszkał tam mój brat cioteczny Michał Bojanowski, a ponieważ był jeszcze kawalerem, więc matka moja prowadziła swemu siostrzeńcowi gospodarstwo domowe.

Po kilku dniach wróciliśmy do Warszawy i wynajęliśmy małe mieszkanie na ul. Widok; zostało ono umeblowane bardzo skromnie.

Wkrótce potem czekała mnie podróż za granicę, gdzie obiecywałem sobie uzyskać potrzebne praktyczne wiadomości w sprawie materiałów wybuchowych. Do rażonki przyjechała starsza siostra Faustyna, która podczas mojej nieobecności miała jej towarzyszyć.

Podróż zagranicę ukatwił mi tym razem mój kolega Stanisław Żelachowski, którego rodzice posiadali majątek nad samą granicą niemiecką koło Grajewa.

Łączyły mnie z nim bliższe stosunki koleżeńskie jeszcze w korporacji, bo mieszkaliśmy nawet przez pewien czas razem w Rydze. Ojciec jego znający dobrze naczelnika komory celnej w Grajewie, nie miał trudności w uzyskaniu pozwolenia na przejazd mój przez granicę, mimo, że nie posiadałem paszportu zagranicznego. Przedstawił mnie, jako swego gościa, ziemianina z lubelskiego, który trochę zaniemógł i pragnąłby udać się do specjalisty w Królewcu.

Graniczna stacja niemiecka znajdowała się blisko Grajewa, tak, że można było udać się do niej piechotą, co też uczyniłem. I kiedy po kupieniu biletu, miałem wejść do wagonu, zostałem niespodzianie zatrzymany przez agenta policyjnego, który poprosił o udanie się z nim do inspektora policji. Po wylegitymowaniu się moim paszportem wewnętrznym i wyjaśnieniu, że przeszedłem przez rosyjską komorę celną za pozwoleniem jej naczelnika i podaniu celu mojej podróży do Królewca, uspokoilem inspektora, który przeprosiwszy mnie, nie widział dalszych przeszkód w moim wyjeździe. Ponieważ pociąg mój odjechał, a do następnego pozostawał

jeszcze kilka godzin czasu, mogłem powrócić jeszcze do państwa Zelechowskich.

Do Królewca naturalnie nie dojechałem. Przesiadłem się przedtym na jednej ze stacji pośrednich do pociągu bełlińskiego, z Berlina zaś dostałem się już bez trudności do Londynu.

Tam skierowałem swe kroki do Stanisława Mendelsoń, ówczesnego redaktora i wydawcy socjalistycznego "Przedświt". U niego zastałem Witolda Jodko-Narkiewicza i Aleksandra Dębskiego.

Mendelson, syn bogatego bankiera warszawskiego, emigrował w czasie wczesnej swojej młodości i ukończył studia prawnicze w Paryżu. Bardzo zdolny mówca i pisarz, materialnie niezależny, nawiązał kontakty i zaprzyjaźnił się z przywódcami socjalistów francuskich i niemieckich, a później i angielskich. Duża przyjaźń łączyła go z Millerandem, późniejszym prezydentem republiki francuskiej.

Mendelson ożeniony był z hrabianką Zaleską z Podola, również dość zamożną. Dom ich prowadzony był na wysokiej stopie życiowej. Oprócz tego ponosili oni duże koszty, związane z prowadzeniem socjalistycznych wydawnictw polskich. Mendelson, z nieodłącznym monoklem w oku, królował swoim błyskotliwym dowcipem w towarzystwie. Ulubionym tematem jego żartów było naśladowanie gestem i mową różnych cech żydowskich. Słuchając go można było sądzić, że jest zdeklarowanym antysemitą, chociaż pochodzenie jego nie było tajemnicą. Mendelson robił na mnie wrażenie człowieka niezwykle ambitnego.

Witold Jodko-Narkiewicz, również materialnie niezależny, także zdolny, nie miał jednak wygórowanych ambicji osobistych. Ani w słowie ani w piśmie nie przejawiał śladu błyskotliwości. Do każdej pracy zabierał się z wielką energią i sprawnością.

Jak się później okazało, miał Jodko-Narkiewicz bardzo niemłą i

szkodliwą cechę, która nie występowała jednak nigdy w czasie gdy pracował społecznie. Natomiast miewał okresy w swojej bezczynności politycznej, kiedy występowała u niego namiętność do picia.

Aleksander Dębski należał jeszcze do pierwszego Proletariatu, rozgromionego w roku 1886. Pochodził z rodziny ziemiańskiej, później zupełnie zubożałej. Odznaczał się bardzo wartościowym charakterem i posiadał szczere, ideowe uczucia. Jeszcze w Zurychu, miał bardzo przykry i groźny dla siebie wypadek; został bowiem poważnie poszarpany przez próbne, małe bomby, napełnione materiałem wybuchowym. Był wtedy tylko widzem przy próbach, wykonywanych przez rewolucjonistów rosyjskich. Dębski podczas całego swojego pobytu w Londynie, stał na czele drukarni i sam dużo pracował jako zecer.

Poinformowałem towarzyszy o celu swej podróży.

Mendelson odradzał mi użycia bomb do zamachów. Mówił, że jest to broń anarchistów, stosowana często na zachodzie Europy i z tej racji zdyskredytowana. Radził mi więc, zorganizować raczej konny oddział bojowy i zrobić napad, na jadącego satrapę rosyjskiego z bronią palną w rękę. Uważał, że zamach w tej formie i dobrze wykonany, miałby wielką popularność na Zachodzie.

Nie odróżniał tego, że przecież nie jest rzeczą obojętną do jakich celów bomb się używa; inaczej bowiem trzeba walczyć z okrutnymi metodami stosowanymi przez zaborcę, a inaczej protestować przeciw własnemu ustrojowi socjalnemu. W pierwszym przypadku należało doprowadzić do silnego wstrząsu, któryby przerwał dalszy rozwój istniejących stosunków, prowadzący do coraz większego ucisku Polaków. Mógłby tu mieć zaś tym znaczenie jedynie radykalny protest, którego siła i ostrość dostosowane byłyby do brutalnych metod, stosowanych przez zaborcę. W drugim przypadku nato-

miast, ewolucyjny sposób działania był właśnie najodpowiedniejszy.

Fakt, że wrażliwsze jednostki dochodzą już do stanu psychicznego, który je doprowadza do stosowania najostrzejszych form odwetowych, z poświęceniem własnego życia, był najlepszym dowodem, że terror rosyjski przeszedł już granice wszelkiej wytrzymałości. Wywołanie jedynie efektu popularności na Zachodzie, nie stało w żadnym stosunku do nastrojów związanych z gotowością poniesienia najdalej posuniętej ofiarności.

Z Londynu udałem się do Paryża i Szwajcarii, zdobyłem bowiem w Londynie kilka adresów, które mi miały zapewnić dostęp do poszukiwanej literatury.

Po powrocie do Warszawy, udałem się pieszo z dworca kolejowego na ul. Widok, a z umówionego uprzednio sygnału, jaki zauważyłem z okna naszego mieszkania, stwierdziłem, że w czasie mojej zagranicznej podróży nie podejrzanego nie zaszło.

Dla łatwiejszego dostępu do chemikalií, potrzebnych do wyrobu materiałów wybuchowych, wyjechałem z małżonką do Rygi. Trzeba było wynająć tam mieszkanie, dostosowane do zamierzonych przeze mnie prac.

Z materiałami chemicznymi nie miałem żadnych trudności; mogłem więc szybko przystąpić do wyrobu nitrogliceryny, w czym pomagała mi małżonka.

Po wytworzeniu dostatecznej ilości i zabezpieczeniu od możliwości przypadkowego wybuchu, złożyłem cały fabrykat do ręcznego koszyka małżonki, w którym miała go przenieść do mieszkania mojego kolegi. Zaraz jednak po wyjściu z domu zauważyła, że jest śledzona przez jakiegoś osobnika. Wstąpiła do sklepu i wyszła dopiero po dłuższym czasie, mając możność już bez przeszkody zanieść cenną zawartość koszyka do miejsca przeznaczenia.

Kolega mój, który jechał do Warszawy, miał przy tej sposobności zabrać z sobą i nasz produkt, Mógł zrobić to z całym spokojem, albowiem

nie był dotychczas obciążony żadną nielegalną działalnością. Naturalnie, że poinformowano go o zawartości przesyłki. Ja zaś z żoną, chcąc zachować najdalej idącą ostrożność, wyjechaliśmy do Warszawy okrężną drogą.

Przybywszy na miejsce, przekonałem się wkrótce, że jestem śledzony, jakkolwiek początkowo bardzo dyskretnie. Dyskrecja dawała nam nadzieję, że nasi niepożądani opiekunowie poczekają jeszcze jakiś czas, by móc złowić jednocześnie większą ilość ryb w zastawione sieci. Postanowiliśmy ^ezatem, w dalszych naszych pracach przygotowawczych, zachować jeszcze większą ostrożność.

Wobec pożądanego pospięchu zmuszeni byliśmy również zmienić plan działania. O ile przy wykonaniu pierwotnego naszego planu istniały pewne choćby nawet bardzo minimalne szanse ujęcia z życiem, to druga koncepcja nie dawała żadnej w tym względzie nadziei. Postanowiliśmy wtargnąć w mundurach oficerskich w dniu galowym do wnętrza soboru, gdzie gromadziły się najwyższe sfery naszych siepaczy i salwą bomb ich powitać ginąc razem z nimi. I ciekawe jest, że ta nieznaczna zmiana, w pierwszym wypadku bowiem istniało przecież małe prawdopodobieństwo ujęcia cało, wywołała ogromną zmianę naszych nastrojów.

Po wydaniu w ten sposób na samych siebie wyroku, nie interesowaliśmy się już niczym innym poza pracą przygotowawczą do zamachu, a wszelkie rozmowy koncentrowały się na tym przedmiocie. Przedstawiliśmy sobie obrazowo i nie bez humoru, epizody w krytycznym momencie. Ktoś z zewnątrz mógłby sądzić, że jesteśmy sadystami. Stanu naszego psychicznego nie można już było uważać na normalny. Cały ten niesamowity nastrój, był widocznie wywołany chęcią zagłuszenia działania instynktu samozachowawczego.

Żona moja opowiadała mi później zagranicą, a znała tylko fragmenty naszych rozmów, że obniżały one w jej oczach ocenę naszych postaci.

I nie w tym dziwnego, bo także i ja, kiedy doszedłem już do zupełnej równowagi i poczułem się znowu normalnym człowiekiem, nie uważałem ostatnich czasów mojego pobytu w Warszawie za normalne, a wywołane jedynie przymusem, który się w nas zrodził pod wpływem ciężkiego losu naszego narodu.

Gdy już praca moja była odpowiednio zaawansowana, wyjeżdżałem kilka razy z Zielińskim kłodzią na Bielany, dla dokonywania w tamtejszym lasku prób, z przygotowanymi próbnymi bombami. Każdorazowo, po zasypaniu pośpiesznie leja utworzonego przez wybuch, wskakiwaliśmy szybko do kłodzi i odbijali na środek Wisły. Jeden z próbnych wybuchów nastąpił raz w chwili, gdy w pobliskim obozie letnim orkiestra wojskowa grała państwowy hymn rosyjski. Silna detonacja wywołała napewno mocny dysonans w pieśni carskawia.

Tymczasem agenci coraz skrupulatniej, a nawet już jawnie pilnowali mojego mieszkania. Trzeba było więc przyspieszyć zamach. Wówczas jednak zupełnie nieoczekiwanie nastąpił fakt, który pokrzyżował nasze plany. Oto ojciec Kunickich, wiedzony widocznie przeczuciem, spowodował rozkaz wojskowy przeniesienia jego synów do Petersburga.

Wkrótce potem, a było to 30 czerwca 1892 roku, wpadł do nas wieczorem Zieliński, naglec do bezzwłocznej ucieczki zagranicę, tejsze bowiem nocy jeszcze, mogła nastąpić rewizja w naszym mieszkaniu. Zdecydowałem ostatnią tę noc jeszcze zaryzykować, inaczej bowiem nie miałbym możliwości wyniesienia z domu całego materiału technicznego, przygotowanego do zamachu.

Na podstawie częstych obserwacji ruchu ulicznego z poza firanek okiennych, mogłem stwierdzić, że wczesnym rankiem między godz. 3 i 4 znikali agenci ze swoich stanowisk. Wykorzystywali oni widocznie ten krótki czas dla odpoczynku, nie przypuszczając zapewne, aby ofiary ich mogły im wtedy wpłatać jakiego figla. Z tej sposobności postanowiłem

więc skorzystać i opuścić rano mieszkanie.

Przede wszystkim udałem się do matki, aby się z nią pożegnać; mieszkała u starszej siostry mojej, Aleksandry. Gdy się zwierzyłem matce o zamiarze moim wyjechania z małżonką zagranicę, rzuciła mi się na szyję, mówiąc, że cieszy się z tego niezwykle, bardzo się bowiem niepoika o nasz los, a nie śmiała mówić mi o tym. Przy sposobności pożegnania, dała mi dość pokaźną sumkę, co znacznie polepszyło naszą sytuację finansową. Powiedziała mi, że właśnie, wiedzona przecuciem, odkładała dla nas te pieniądze. A były one bardzo pożądane, wydawałem bowiem już ostatnią należną mi ratę, pobraną naprzód od mojego szwagra. A musiałem Zielińskiemu także pozostawić pewną ilość pieniędzy, bo od czasu porzucenia swego stanowiska urzędniczego w Rydze, nie miał już innych środków do życia.

Po powrocie od matki, zabraliśmy się do pakowania rzeczy. Postanowiliśmy zabrać z sobą tylko bieliznę. Druga walizka, była wypełniona przygotowanym przeze mnie materiałem wybuchowym.

O godzinie 10 wieczorem małżonka udała się na spoczynek.

W związku ze spodziewaną rewizją żandarmerii, porobiłem przygotowania, abyśmy nie dostali się żywi w ręce władz rosyjskich. Przy łóżku żony postawiłem słoik z cjankiem potasu, sam zaś przygotowałem odpowiednie narzędzia dla obrony, którą pragnąłem zaalarmować Warszawę i dać w ten sposób możność ukrycia się w porę tym, którzy mogli być również zagrożeni. W chwili powstania zgiełku walki u wejścia do mieszkania, miała żona sięgnąć po słoik z trucizną. Tuż przed spoczynkiem zasnęła spokojnie. Ja musiałem czuwać, nie tylko z racji spodziewanej wizyty żandarmów, lecz również aby nie zasnąć.

Noc minęła szczęśliwie. Bardzo wczesnym rankiem obudziłem dozorcę domu, polecając sprowadzić dorożkę. Powiedziałem mu, że jedziemy na tydzień na wieś do Skierbieszowa, a dając rubla, powierzyłem opiekę nad

416

mieszkaniem, obiecując dać więcej po powrocie.

Wybrałem dobrą porę, gdyż niespostrzeżeni przez naszych opiekunów, opuściliśmy mieszkanie. Dorożkarzowi kazałem jechać na dworzec Nadwiślański. Przybywszy tam, weszliśmy z rzeczami do poczekalni i dopiero po nadejściu pociągu opuściliśmy wraz z przyjezdnymi dworzec, aby inną dorożką udać się do mieszkania Zielińskiego; u niego pozostawiłem walizkę z materiałami wybuchowymi.

Zieliński miał bezzwłocznie wyjechać do swoich znajomych na kresach wschodnich i dopiero po pewnym czasie powrócić do Warszawy, aby chociaż w mniejszej skali wykonać nasze zamierzenie. Miał przy tym łatwość zmiany swego wyglądu przez ogolenie dużej brody.

Trzecią z rzędu dorożką udaliśmy się od niego na dworzec petersburski i w ten sposób zatarliśmy za sobą wszelkie ślady.

Jak nas później informowano, władze po stwierdzeniu, że przyjazd nasz do Skierbieszowa nie nastąpił, zapytywały krewnych o nasz adres, a z mieszkania siostry zabrały moją fotografię.

Pierwszym etapem naszej dalszej podróży był dom rodziców mojego kolegi Zelechowskiego, których majątek, jak już wspominałem, dochodził pod Grajewem do samej granicy niemieckiej. Przybywszy tam, poczuliśmy się znowu wolni i na razie bezpieczni.

Po kilku dniach pobytu w tym gościnnym domu, udaliśmy się wraz z gospodarzami na przechadzkę do lasu i tam przeszliśmy granicę. Poza lasiem, po stronie niemieckiej, czekał już nas mój kolega z powozem, którym mieliśmy pojechać do miasteczka Ełku, aby tam dopiero wsiąść do pociągu.

Szczęśliwym trafem dawniejsza moja przygoda na stacji przy samej granicy, w małej wioszczynie w Prostkach, dała mi wskazania, bez których cały nasz misterny plan wydostania się z pod łap rosyjskich, nie byłby się udał. Bylibysmy napewno zatrzymani na pierwszej stacji niemieckiej

417

i wydani władzom rosyjskim, Władze niemieckie bowiem w tym czasie wydawały przestępców politycznych Rosji, wyjazd zaś z miasteczka Elku, razem z innymi podróżnymi, dawał bardzo małe prawdopodobieństwo komplikacji.

Podróż koleją minęła szczęśliwie. W Berlinie skorzystaliśmy z gościny Stefanów Tielów, bardzo inteligentnej rodziny robotniczej, znanej mi z poprzedniej podróży. Pochodzili z Gniezna w Wielkopolsce. Użycie hotelu było dla mnie niemożliwe ze względów konspiracyjnych.

Pobyt nasz w stolicy państwa niemieckiego projektowany był na kilka dni, musieliśmy bowiem oczekiwać na walizę z bielizną, którą miał mi wysłać mój kolega Zelechowski ze stacji niemieckiej frachtem pośpiesznym. Zaszła widocznie przeszkoda, bo walizę otrzymałem dopiero po trzech tygodniach.

Dłuższy pobyt u naszych miłych gospodarzy nie był dla nas uciążliwy. Łączył mnie przecież z nimi nie tylko stosunek towarzyski, ale i ideowy. Dłuższy pobyt dał mi także sposobność poznania życia i organizacji Polonii robotniczej w Berlinie. Stykałem się tu również z przedstawicielami robotniczej organizacji z Górnego Śląska, którzy przyjeżdżali od czasu do czasu do stolicy Niemiec.

Pewnego dnia udaliśmy się w towarzystwie młodszego brata naszego gospodarza na przechadzkę do Tiergartenu. Już mieliśmy wracać do domu, kiedy zauważyłem, że dwóch osobników zdecydowanie podąża za nami. Nie miałem żadnych wątpliwości, że są to szpicle policyjni. Trzeba było koniecznie od nich się oderwać, a nie była to rzecz prosta.

Przedem wszystkim ostrzegłem dyskretnie towarzyszy przechadzki, aby się przypadkiem nie oglądali i zachowali dalej spokój, poczym dopiero poinformowałem ich o swojej obserwacji; przygotowałem ich na to, że w chwili kiedy będzie nas wyprzedzał tramwaj, wrzucę pośpiesznie na plat-

formę małżonkę, poczym sam za nią wskoczę. Ryzykowny ten plan udał się znakomicie, pomimo wielkiej szybkości, jaką w tym miejscu tramwaj rozwiązał. Pomocną była mi w tym nie tylko wielka moja siła, ale i właściwa szybkość ruchów.

Konduktor niemiecki, nie przyzwyczajony do tego rodzaju ekstrawagancji i to jeszcze przy pełnej szybkości wozu, dał mocny wyraz swemu oburzeniu; wciśnięta w dłoń marka, załagodziła momentalnie nasz wzajemny stosunek.

Ucieczkę ułatwiła jeszcze i ta okoliczność, że nie było w pobliżu żadnej dorożki.

Dojechawszy do pierwszego placyku, na którym krzyżowało się kilka linii tramwajowych, wskoczyliśmy zaraz do wozu, który właśnie ruszał. Byliśmy uratowani. Dopiero po przejechaniu większej przestrzeni, skierowaliśmy się ku domowi.

Gdy brat gospodarza powrócił, opowiedział nam co zaszło po naszej ucieczce. Agenci pośpiesznie podążyli do stacji tramwajowej i ruszyli najbliższym wozem za nami. To samo zrobił młody Tiel. Na placyku wysiedli oni szybko i przebiegli wszystkie stojące tam wozy tramwajowe. Niestety spóźnili się. Liczyli zapewne na to, że zastaną nas oczekujących na odpowiedni dla nas wóz.

Przygoda w Tiergartenie upewniła mnie, że pogoń została zarządzona i że dotarła już do Berlina. Dalsze pozostawanie na miejscu nie było bezpieczne. Na szczęście walizka z bielizną nadeszła już nazajutrz; nie zwlekaliśmy też dłużej z wyjazdem.

Dalsza nasza droga prowadziła przez Rotterdam, Hook ^{Van} ~~at~~ Holand i Harwich do Londynu. Do granicy holenderskiej jechaliśmy czwartą klasą, trzeba się bowiem było ograniczać w wydatkach.

W Anglii poczuliśmy wreszcie, że nam już nie grozi. I dopiero

teraz uświadomiliśmy sobie, jak niezwykle sprzyjało nam szczęście w uniknięciu czyhających niebezpieczeństw.

Skazuję się sam na śmierć i mimo mej woli żyję, z rewizją w domu żandarmi się spóźniają, z Warszawy wydostajemy się z pod łap rosyjskich oprawców, omijamy szczęśliwie stację graniczną niemiecką, wkońcu wymykamy się szpicłom w Berlinie. Gdyby choć w jednym przypadku szczęście nie dopisało, nie byłoby już dla nas ratunku w zachowaniu życia.

R O Z D Z I A Ł VI.

Z ówczesną wolnością indywidualną mieszkańców Anglii, nie mógł konkurować żaden kraj kontynentu europejskiego, a już niezwykle kontrastował obraz warunków wolnościowych angielskich z rosyjskimi.

Do Wielkiej Brytanii mógł przyjeżdżać kto chciał i kiedy chciał. Nikt nie miał prawa legitymować przyjezdnego. Było rzeczą obojętną, czy dany osobnik nosi swoje nazwisko, czy przybrane. Odpadały tu wszelkie formalności legitymacyjne. Mieszkanie było niedostępne dla niepożądanych osób.

A jakże skrajnie przeciwnie przedstawiało się zachowanie policji w Londynie i rosyjskiej w Warszawie. O ile tu policja dbała przede wszystkim o interes i bezpieczeństwo mieszkańców, przescigając się w uprzejmości przy zetknięciu z nimi, o tyle tam stanowiła ona sama jedynie niebezpieczeństwo dla jej mieszkańców, a przescigała się w brutalności.

Po przybyciu do Londynu, a było to w początku sierpnia 1892 r., skierowaliśmy nasze kroki przede wszystkim na Stonord Road, do Mendelsonów. Tego samego dnia jeszcze, przenieśliśmy się w ich pobliże do pokoju umeblowanego, na pierwszym piętrze, w domu dwojga młodych ludzi.

Gospodarz był pochodzenia żydowskiego, ale wychowany w Londynie, wyglądał na Anglika. Młoda jego żona była Angielką. Widocznie, że zach-